Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 27. Marca 1881 r. Tom XII.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 13.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—11 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

NIEWOLA TATARSKA

urywki z kroniki szlacheckiej Aleksego Zdanoborskiego

zebrał

HENRYK SIENKIEWICZ.

(Ciąg dalszy.)

III.

. . . Poganin wedle języka naszego, jest gdyby bydlę, albo pies nieczysty, albowiem co jest nieczystego, u ludzi to i Bogu niemiło. A choć się bisurmanie lepszemi od chrześcian powiadają, przecie w głębi sumienia sami o swej nieczystości wiedzą i gorliwie zmyć onę pragną, siedm razy na dzień wodą swe członki oblewając, czegoby przed się czynić nie potrzebowali, gdyby zatwardziałość ich w grzechu mniejszą była. U żadnego też narodu, niewola tak ciężką nie jest, a to dla ich okrucieństwa i z tej przyczyny, że kościołów i księży chrześcijańskich u nich nie ma; gdy więc któremu z jeńców w grzech śmiertelny popaść przychodzi, ten w chwili śmierci nie mogąc dostać rozgrzeszenia, potępionym snadnie być może. Z jeńcami srodze się też obchodzą, co się i z przygód moich pokaże. Mają oni jedno święto zwane Bimek-bairon, przed którym to czasem, post miesiąc cały zachowują. Mahomet też, prorok ich, aby bezecność swoją pozorami justycji koloryzować, kazał im dnia tego niewolnikom zmniejszać lata niewoli, wysłużonym swobodę dawać, wszystkim zaś wyznaczać do jakowego terminu służyć mają, i obietnic pod przysięgą dotrzymywać. A mają się te przysięgi odprawować we dwie godzin po północy, gdy ksiądz ich na wieżę, albo li tam gdzie wieży nie ma, na wzgórze wejdzie i pocznie, palce w uszy włożywszy, wołać: »Lai Lacha i Lalach Mahomet Rossulach esse de Miellai, Lacha i Lalach!« Przysięgają więc wtedy na książeczki zwane Hamaeli, na których szabla Alego, mahometowego pomocnika u spodu jest wyobrażona, którą Delfikari zowią. Komu tedy na tę książeczkę przysięgną, bez pochyby przysięgę zdzierżą, ale tak są w oszukaństwie zaprawni, że nietylko niewolników, ale i Boga swego oszukują, przysięgając na książeczki, które z mydła weneckiego efficiuntur. Taką przysięgę, mówią, pierwszy deszcz rozpuszcza i dla tego nic słowom ich wierzyć nie można.

Jeńców do Azji, która zgoła jest inną częścią świata, sprzedają; pozostałym trzód strzedz każą, do robót ich używają, surowcem z byczej skóry biją i głodem morzą. Sami próżnowanie umiłowawszy, ledwo się do obmywania podnoszą, a przez resztę dnia na czerepach końskich, pokrytych kobiercami, siedzą i ręce bezczynnie na brzuchu trzymają, co najwięcej to się w prawo i w lewo kiwając. Na muzykę tylko bardzo się łakomi i głosu piszczałek, po całych dniach słuchać zwykli. Tych po dwie w gębę włożywszy, palcami na nich, jako na fletni przebierają. Prócz tego mają też multanki, kotły końską skórą obciągnięte, cymbały, tudzież krążki miedziane, wielki brzęk czyniąc i kije długie, grzywą zdobne a dzwoneczkami okryte. Gdy na tych wszystkich instrumentach grać poczną, taki ztąd powstaje harmider, że psy wyją, oni zaś, ciesząc się, mówią, iż i ich uszom słodycz ztąd przychodzi i choroby różne przed owemi głosami precz od nich umykają. Pijaństwo jest u nich wielkie, bo choć wina pić im nie wolno, przecie się kobylem skisłem mlekiem zalewają, które gorzej niźli wino do głowy idzie. A wtedy źli są i okrutni, tak że jeńców zabijają, mękami ich w poprzód zmorzywszy. Z chrześcijańskich narodów Genueńczykowie i Wenecjanie z niemi handlują, do różnych miast, które jeszcze starożytni, scillicet Graeci budowali, na nawach swych przybijając. Ci im nad wszystko lampki pergaminowe różnych kolorów przywożą, które oni łojem baranim napuściwszy i świeczki w środek zapalone włożywszy, na grobach i kościołach swych w nieskończonej liczbie wieszają i wonnościami kadzą. Od onych świateł białych, różowych, zielonych i modrych jakoby w powietrzu nocą wiszących cudny jest widok, który każde oczy mógłby uradować, gdyby nachwałę był obrócony.

Ale oni właśnie wtedy sprosności dopuszczają się największych. Księża ich są zarazem czarownikami i ze złemi duchami w komitywę wchodzą. Gdy wyprawa wyjdzie na rabunek, oni to noce ciemne czynią, a dniem mgły wielkie podnoszą, aby kosz przed pogonią mógł ujść bezpiecznie. Ludu na Perekopie i w całym Chersonesie nie masz tyle, ile w Rzeczypospolitej mniemają, ale co jest, to wszystko do wojny się używa, nie zaś ze stanu tylko szlacheckiego. Na głód, chłód i trudy bardzo są wytrzymali, bo z młodu goło chodzą, od czego też skóra staje się na nich czarna. W bitwie jednak zbrojnym mężom dostać nie umieją, z której to przyczyny wojna ich na fortelach więcej niźli na męztwie polega, i na tem, by napaść, złupić i co prędzej uciekać. Szczególniej na widok pancernych serce tracą, mówiąc, że nawet i w czarach nie ma sposobu, aby się ich impetowi oprzeć. Każda też chorągiew usarska napsuje ich w bitwie cztery i pięć razy tyle, ile sama liczy towarzyszów. Niewoli u kozaków gorzej śmierci nie pragną; ale potykać im się z niemi łatwiej. Tak też mniemam, że Rzeczpospolita, gdyby chciała, mogłaby sna-

dnie cały Krym zawojować, z Wenecją w przymierze wszedłszy, którąby floty swoje na Pontus Euxinus wysłała, aby tureckich z pomocą nie dopuścić. Ale ponoś są u nas i tacy, którzy harce na stepie więcej, niźli bezpieczeństwo Rzplitej ceniąc, nie radziby, by się to stać miało. Tych Boże w ich ślepocie oświeć. . . .

Żywot Tatarów i obyczaj bydlęcy jest i przy swojej gospodarce, albo raczej próżnowaniu, z głoduby im umierać przyszło, gdyby nie rabunek, który im bogactw wielkich dostarcza. Temu to bogactwa owe zawdzięczają, które u nich widziałem, jako to: niezliczone trzody bydła, kóz płochych, koni ścigłych, wielbłądów byle co jedzących i owiec tłustych. Inny też pod namiotami, albo w kamiennym rozwalonym ałusie trzyma złotogłów, pasy, rzędy końskie, kielichy, kobierce, broń sadzoną, korzenie i wonności, a wszystko bez ładu na kupę nałożone. Z których to skarbów nijakiego pożytku nie mają, bojąc się, by z nich Chanowi lub Turkom, którym są podlegli, płacić nie przyszło. Sami w tołubach baranich wełną do góry chodzą. Ale co któren ma, to chowa i bogatym się powiada, od czego inni też go szanują. O miastach, któreby sami zbudowali, nie słyszałem, a te co są, to z dawnych czasów pochodzą, Chersonesus bowiem drzewiej bardzo był zamieszkały, dopóki osad i mieszkańców tamtejszych różni poganie nie starli. Kilka jednak miast zostało dosyć ogromnych i bardzo pięknych, ale oni i w nich barbarzyński żywot jakoby w niechlujnych koczowiskach pędzą. Mnie zaś z wielą innemi zaprowadzili do pewnej osady Kizlich zwanej, nad sam brzeg morski, gdzie strumień słony i mały ad mare profundum się sączy. Domy są tam budowane z ruin jakiegoś miasta, które jak twierdzą, jeszcze Sauromati zburzyli. Ale kilka budowli jest bardzo pięknych, choć znacznie pokruszonych, które dawniej świątyniami były, dziś zaś Tatarowie do nich owce i konie na noc zaganiają, jednę tylko w minaret obróciwszy. Z ziemi także wykopują czasem kamienne figury, tak misternie rzeźbione jakoby żywe. Tym dzieci tatarskie na głowach siadają, lub kamieniami członki tłuką. Za mną też dzieciaki owe gruzem i nieczystością rzucały, wołając: gaur! gaur! Ale znosiłem to cierpliwie, zwłaszcza, iż Aga Sukyman, jakoby po naszemu rzec: Salomon, miasta tego praefectus, który mnie omdlałego znalazł i pojmał, z początku przystojnie się ze mną obchodził. Czynił to dla tego, iż zbroję piękną i szablę sadzoną na mnie wziąwszy, za znacznego w narodzie naszym mnie poczytał i okupu się wielkiego spodziewał. Ja zaś bacząc, że ślachcicowi nawet i w niewoli i przed nieprzyjacielem zmyślać nie przystoi, wręczem mu na to negował. Rzekłem więc, że jakkolwiek z przedniego rodu pochodzę, przecie fortuny żadnej nie posiadam i z okupem nikt po mnie jechał nie będzie. Czemu on w chytrości swej nie wierząc, tak do mnie po rusku mówił: »Ej wy Lachowie! każden z was się chudopachołkiem powiada i okupu nie zaręcza, by was katować, za co sobie rozkoszy wielkie od waszego Boga w niebie obiecujecie.« Owo więc i do Azji, jako wielu innych mnie nie przedał, i prawie wolność mając zupełną, codzień nad brzeg chodziłem. Tam in rupibus siadłszy, wpatrywałem się w daleskość morską, jako turkus błękitną i myślom wodze puszczałem. Częstom też rzewnie płakał, bom rozumiał dobrze, że dola moja zamknięta już jest i przez nieszczęście przypieczętowana. Ani bowiem o posługach rycerskich dla miłej ojczyzny, ani o sławie, ani o Marysi myśleć nie mogłem. Przeto smutki ogarnęły mi duszę i cierpienie toczyło serce, i okrutna tęsknota wychodziła ze mnie ku Rzeczypospolitej i ku wszystkiemu com w niej utracił. Wolejbym był na świat nie przychodził, wolej w bitwie zginął, wolejby mnie Sukyman od razu na męki wydał, bo przynajmniej palmębym otrzymał i dusznemi oczyma ujrzał to, za czem cielesne tęskniły. W boleści, końcam boleści nie widział. Co piątku, który to dzień u Tatarów jest niedzielą, gdy inni jeńcowie wypoczynek od prac i mąk mieli, siadaliśmy przy strumieniu, w płakaniu sobie wzajem pomagając, a często śpiewaliśmy psalm: »Super flumina Babylonis.« Tak nam dzień schodził na rozpamiętywaniu i rozmowach o ojczyźnie, z których duszom pociecha była niemała. Zdarzyło się przytem, iż między jeńcami, którzy w Kizlich jarzmo niewoli dźwigali, sam jeden szlachcicem byłem, przeto rząd nad niemi niejako sprawując, ukrzepiałem ich dusze, aby nie znalazł się taki, któryby odstąpieniem od wiary prawdziwej, niedolą swą okupić pragnął.

Jakoż Bóg tego nie dopuścił. Mając też u Tatarów dla spodziewanego okupu powagę, ulgi niejakie innym jeńcom przynosić usiłowałem. Czasem tedy część strawy swej najgłodniejszym udało mi się oddać, czasem w robocie pomagałem, wody spragnionym przynosiłem, za ujmę sobie tego nie poczytując, gdyż, jeśli Pan Jezus prostych ludzi w urodzeniu i krwi upośledził, przecież koronę w niebie im obiecał, a przez to ich młodszemi braćmi naszemi stworzył, którym od stanu rycerskiego należy się obrona i opieka. Oni też z pokorą całowali moje ręce, chociażem im mówił, że niewolnikiem tylko na równi z niemi jestem, i że godzina taka może nadejść, w której mnie w większej jeszcze nędzy i upodleniu niż sami są teraz, oglądać będą. Czemu nie chcieli dać wiary, mówiąc: »Dla Boga! nie może to być!« Alem ja wiedział, że będzie, gdy Sukymanowi na okup sprzykrzy się czekać daremnie, i gotowałem się na wszystko najgorsze, co ciało spotkać mogło, gdyż dusza utraciwszy szczęście, była już w męce i boleści. Jakoż Sukyman jednego dnia przyszedł do mnie i mówił: »Źle czynisz, iż za łaskawość moją, niewdzięcznością się wypłacasz, gdyż jako gościa cię traktuję, a ty znać w uporze trwasz; bacz tedy, abym cię pod kolana moje nie zgiął.« A tu wraz zamysły swe objawił i żądał, bym do Rzplitej o tysiąc czerwonych złotych pisał, za którebym wolność mógł otrzymać. Czego ja uczynić nie mogłem, a to raz, iż tylko trzysta czerwonych złotych miałem, do których niewiele co z prowizyi przyrosło; powtóre, bałem się, aby JW. Twórzyańki *magnanimitate sua*, z własnej szkatuły za mnie płacić nie chciał, coby ambicji mojej przeciwnem było. Gdy jednak Pan spuścił strach w kości moje przed gniewem Sukymana, rzekłem mu, aby chwilę męki odwlec, iż woli jego posłusznym być muszę. Jakoż dałem mu list, ale do jednego proboszcza, którego pod Kamieńcem miałem znajomym. Temu niewolę moję opisawszy, prosiłem go, aby modlił się o wspomożenie dla mnie, które tylko z niebiesiech przyjść mogło. Uradowany w chciwości swej Sukyman, pismo owo przez Tatarów, idących na jarmark do Suczawy wyprawił, dokąd także dworzanie od magnatów naszych po bakalie wyprawiani bywają. Sam zaś łaskawszym się jeszcze na mnie uczynił, i do ałusu swego, któren w całem mieście najpiękniejszym był, mnie zaprosił. Był to zaś możny poganin i w narodzie swym bardzo poważany, tak dla swego męztwa, jak i dla fortuny, która w jednem tylko go upośledziła, a to, iż z wielu żon, żadnego syna nie spłodził, a córek pięć. Najstarszą z nich Iłłę, wielce dla jej urody miłował. Przyszło mi ją często widywać, albowiem Tatarowie nie trzymają niewiast swych tak jak Turcy, w zamknięciu, ani też oblicza im pokrywać nie każą. Która też do stołu przychodziła, z początku ze strachem na mnie i ciekawością, jakby właśnie na jakoweś monstrum spoglądając. Potem zasię, gdy przyrodzona jej dzikość poskromioną została, często nie rzekłszy ni słowa, bukłę ze skisłem mlekiem ku wargom moim pochylała, lub gałkę z ryżu i baraniego łoju ukręciwszy, w gębę mi takową na znak swej przychylności kładła. Czemu Sukyman nietylko się nie przeciwił, ale i sam to czynił, gdyż obcując ze mną codzień, wielce mnie polubił, i częstokroć do porzucenia smutków namawiał. Przezemnie też i innym jeńcom lepiej się działo, albowiem Iłła wszelkiej żywności obficie im dostarczała. Z takowej przyczyny oni pokochali ją, i gdy wedle cysterny przechodziła, całowali szaty jej, orędowniczką swoją zowiąc. Poganka też owa, nietylko gładkie oblicze, ale i miłosierne serce miała, tak, iż nieraz żal się robiło pomyśleć, że dla błędów wiary swej zgoła potępioną być musi. Ku mnie zaś coraz więcej serca okazywała. Bywało, siadłszy skulona w kącie ałusa i tyftykiem się z głową owinąwszy, po całych godzinach na mnie w milczeniu jako kot jarzącemi oczyma spoglądała. Spytałem ją tedy raz, czego się tak we mnie wpatruje, ona zaś rękę na czole, na wargach i na piersi położywszy, do nóg się moich pochyliła i rzekła: »Bakczy, niewolnicą twoją być pragnę.« I wraz uciekła, a mnie tymczasem żądzy grzeszne opadły, od których w żarliwej modlitwie obrony szukać musiałem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SZEKSPIROWSKA HISTORJA TRAGICZNA

O KSIĘCIU DUŃSKIM HAMLECIE

napisał

Włodzimierz Spasowicz.

(Ciąg dalszy.)

Wracam do wątku dramatu. Duch się objawił w całej grozie cmentarza i godziny północnej i przykazał synowi: pomścij się za mnie na stryju, ale oszczędź matkę. Każdy syn powiedziałby na razie to samo co Hamlet: *pamiętać o tobie? O biedny duchu stanie ci się zadość, dopóki tylko na tym wietrznym globie Pamięć żyć będzie — pamiętać o tobie! Wraz pamięć moja z tablic swych wykryśli Wszelkie powszednie tuzinkowe myśli, Książkową mądrość, obrazy, wrażenia... to wszystko, coś mi zalecił, wyrytem w księdze mojego mózgu pozostanie* (I, 5). — Mało pamiętać — trzeba jeszcze spełnić, a Hamlet nie spełnia i odwleka, w tem sęk, w tem zawiłość dająca powód do tysiąca domysłów i sporów. Rümelin tłumaczy rzecz w ten sposób: nie spełnia — odwleka — bo gdyby nie zwłócząc, spełnił i stryja zabił, byłoby już po dramacie. Dramat, a w środku jego postać Hamleta, działająca bez planu i ciągu, to tylko naczynia, do których Szekspir wlewał uczucia swoje osobiste, swoję satyrę, wspomnienia bólów i zawodów. — Gdzież tam, co znowu, powiada Werner, w prelekcyach, mianych w Berlinie 1871—1872, pięknyż mi sposób pomszczenia się za ojca! Klaudyusz zbrodnię popełnił w największej tajemnicy, tron posiadł najlegalniej, ma za sobą wojsko, dwór, szlachtę. Gdyby można go było zamordować śród dworu i gdyby nawet morderca za nic miał karę, która niechybnie spadnie na królobójcę, toć przecie pamięć ojca zostanie niepomszczoną, bo Klaudyusz zejdzie opłakiwany, prawie jako męczennik. Łotra potrzeba wprzód przekonać i zdemaskować. Proste powołanie się na ducha nikogo nie zadowolni. Potrzeba lisiej przebiegłości, wytrwałości, odwagi. Tym warunkom nie sprostał Hamlet, krew mu zagrała przedwcześnie, pchnął szpadą w kotarę, po za którą domniemywał się króla, zabił nie króla, lecz niewinnego człowieka — to jego wina, w skutek której bierze nad nim górę Klaudyusz i gubi go, ale gubiąc i sam wpada w sidła przez siebie nastawione — giną oba w katastrofie końcowej, w której sprawiedliwości domierza przypadek, prawie zastępujący Opatrzność. Taki jest wywód Wernera. Dowiedźmy, że oba wywody i Rümelina i Wernera nie mają najmniejszej podstawy.

Najprzód usuńmy przypuszczenie, jakoby niepowodzenia Hamleta wynikły z jego krewkości, popędliwości i niewytrzymałości w polityce. Nie tylko książę nie dba o koronę, a samo życie waży na wagę złamanej szpilki, nietylko wedle słów swoich (II, 2) mógłby być zamkniętym *w łupinie od orzecha, a uważać się mimo to za króla niezmierzonej przestrzeni, gdyby nie złe sny,* ale są dwa miejsca w dramacie, w których stoi wyraźnie, że Hamlet pojmował swoje zadanie jako najprostsze w świecie zamordowanie stryja przez zemstę, a wcale nie jako detronizowanie go polityczne. W końcu aktu II kając się, *że ma chyba wnętrzności gołębia i brak zupełny żółci, że gorszym jest od aktora, któren w niby — wzruszeniu może nagiąć swą duszę do swoich pojęć że i twarz mu pobladła i łzy pociekły* (i gwoli komuż? gwoli Hekubie), wyrzuca sobie, jako najwyższe nicdołęztwo, że *nie napasł dotąd sępów ścierwem nędznika.* W akcie III (scena 3 modlitwy Klaudyusza) Hamlet powiada: *modli się i teraz mógłbym to uczynić* (t. j. zabić) *teraz uczynię.* W obu scenach nie przychodzi do czynu nie ze względów polityki, ale przez wymyślone przez Hamleta co raz to nowe wątpliwości i skrupuły sumienia, to jawi się przypuszczenie, że może duch zwodzi, może to był sam szatan; to robi się wniosek, że modlącego się zabić — nie będzie to posłać go do piekła. Sama scena na scenie, ułożona przez Hamleta, nie ma na celu zdemaskowanie króla, ale tylko upewnienie się samegoż Hamleta, osobiste i wewnętrzne o tem, o czemby kto inny na jego miejscu upewniać się nie potrzebował. Dwór w odbytem widowisku widział nowy przykład dziwactwa, ale podejrzliwość króla została obudzoną przez myśli niebezpieczne. Nietylko w wykonaniu Hamlet nie postępuje ani na krok, ale cofa się od mety i pozostaje w większem niż wprzódy odosobnieniu, ale ludzie rozsądni muszą unikać dziwaka i waryata.

Sąd Rümelina tak jest płytki, że prawie nie potrzebuje, aby go zbijano. Hamlet trzyma prym w dramaturgii współczesnej wcale nie przez liryczne ustępy, ale przez głęboką prawdę psychologiczną charakteru, którego grunt i podstawę stanowi, przy złotem sercu i świetnych, błyskawicznych pomysłach, zupełna nieudolność sprostania praktycznemu zadaniu, które nań mimo woli jego spada i uznanem jest przezeń jako obowiązek święty i bezwzględny. Na takiż sam rozkaz z nieba od Apolina, starożytny Hamlet tragedyi greckiej — Orestes, nie tylko bez wahania się, ale zgoła bez namysłu zabija nietylko męża matki, ale i matkę. W mowie do Horacego (III, 2) Hamlet wyraża się, że szczególniejszą pogardą o ludziach niewolnikach żądz, to jest właściwie o masie, o tej tłuszczy ludzi pospolitych, do których stosują się inne jego słowa (1, 5). *wy idźcie gdzie wam każe iść interes Lub skłonność, każdy bowiem na tym świecie Ma skłonność lub interes.* Po nad tą czernią stoją ludzie wybrani, samodzielni, błogosławieni, bo w nich krew, to jest żądza, dobrze zrównoważona z rozsądkiem. Każden z tych niewolników żądz, a jednak tylko zwyczajnych śmiertelników wywiązałby się tysiąc razy lepiej od Hamleta z ciążącego na nim zadania. Wszakże człowiek szczupło zasobny umysłowo i bardzo zwyczajny — Laertes, poradził sobie wcale nieźle w podobnym przypadku, bo wydobył z siebie stosowną wytrwałość i namiętność i jak toporem odrąbał psychologiczne nici skrupułów moralnych, wikłających Hamleta. Laertes poprostu woła *do czarta z uległością, niech w piekło idą przysięgi!* (IV, 5). Tymczasem królewicz tak odważny, że w rodzaju sądowo-wojennego pojedynku położył trupem króla norwegskiego starszego Fortymbrasa, że zmieniłby w upiora każdego, ktoby mu bronił iść rozmawiać z duchami, że mu się *nerwy prężą jak u lwa Nemejskiego* (1, 4); ten królewicz taki przebiegły, że w chytrościach i podstępach sprostałby najsłynniejszym z przodków, normandzkim królom mórz; ten królewicz prawdomówny, szlachetny i delikatny, którego tak opłakuje Ofelia (III, 1) *o, jak szlachetny duch zwichnięty został dworaka, wodza, mędrca — ton, miecz, umysł; kwiat oczekiwań potężnego państwa, Wzór ukształcenia, zwierciadło poloru, Cel zwracającej się uwagi świata — wszystko,* wszystko stracone! ten królewicz powiadam, sam się biczując moralnie (IV, 4) w scenie z przeciągającem wojskiem młodego Fortynbrasa, uznaje siebie za istotę niższego gatunku, nawet od ludzi — niewolników żądz: *czem-że jest człowiek, jeżeli głównem jego dobrem i czasomierzem* (market of time) *jest tylko spać i jeść? zwierzęciem, tylko zwierzęciem Ten, co nas stworzył z tak wielką władzą poglądania wstecz i naprzód, uczynił to nie na to, aby ten bogom podobny rozum butwiał w nas bez użytku.* Tysiącem powtarzanych rysów Szekspir uwydatnił zasadnicze w Hamlecie sprzężenie, olśniewającej i pociągającej genialności. z zupełną jałowością praktyczną, z impotencyą w czynie, dostrzeżoną już przez Goethego.

W tym kierunku Szekspir nietylko przerobił starą sagę, ale ją całkiem przewrócił. W pierwotnem źródle Hamlet gra takąż rolę, jak Junius Brutus na dworze Tarkwiniusza, to jest udaje głupca od urodzenia, by uśpić podejrzenia i w rzekomych dziwactwach rozwija mądrość niezmiernie zręczną i celu świadomą, która go w końcu doprowadza do pożądanego końca, to jest do pozbycia się stryja i posiadania tronu. Z Hamletem Szekspira rzecz się ma całkiem inaczej. Jedno z najczęściej stawianych przez krytykę pytań polega na tem, po co i w jakim celu udaje on waryata i czy nie zwaryował bez udania rzeczywiście? Wszakże i Goethe doszedł w swoim komentarzu tylko do połowy drogi i charakteru Hamleta ostatecznie przed nami nie otworzył, nie wykazał wady organicznej, w skutek której bohater nie umie podołać włożonemu nań ciężarowi? dla czego trudne, acz dla innych możebne, przechodzi jego siły? dlaczego ta wrodzona nieudolność odejmuje mu możność podniesienia tego tylko ciężaru, ale nie czyni go wedle zdania Goethego, niezdolnym do pełnienia innych funkcyj społecznych, podnioślejszych ale mniej skomplikowanych, chociaż wymagających dojrzalszej rozwagi, a po rozwadze niejakiej stanowczości woli. Goethe sądzi Hamleta bardzo pobłażliwie, w starciu się poety ze światem uniewinnia prawie poetę. *Poecie przykazano wyrwać jeden tylko chwast; Cóż dziwnego, że poeta się ociąga ze względu na to, iż wyrwać jeden tylko chwast nie warto, kiedy cały świat do szczętu zepsuty i całe pole porosło bujnemi chwastami.*

Z założeniem Goethego, że Hamlet nie przydał się tylko do tego, co nań włożono, rozprawimy się później, teraz pytamy, w czem leży organiczna wada umysłu Hamleta? Odpowiedź nastręcza się na pozór jasna i prosta; od zbytniego myślenia, od filozofowania, od zatapiania się w pierwsze przyczyny rzeczy, od doszukiwania się poza oczywistym pewnikiem jeszcze większych pewników, gdy tymczasem grunt przed tą szukającą go myślą coraz dalej ucieka. Takie pojmowanie charakteru Hamleta miałoby po sobie prawdopodobnie dwa ustępy. Jeden z nich w monologu *to be or not to be* te wyrazy: *takto rumiana cera postanowienia znika przed bladym kolorem myśli; tak to zamiary pełne jedności, zbite z wytkniętej kolei, tracą nazwisko czynu; tak to sumienie czyni nas tchórzami.* Drugi ustęp znajduje się w scenie (IV, 4) w obec wojska Fortynbrasasa: *jest-li to skutkiem zwierzęcej, godnej bydła niepamięci, Czy trwożliwego i skrupulatnego Przemyśliwania skutków, które biorąc ściśle Zawsze ma w sobie trzy*

*

części tchórzostwa I jedną tylko mądrości, że dotąd mówię do siebie, trzeba to uczynić, I kończę na tem, kiedy mi do czynu Nie brak powodów, woli, sił i środków.

Z temi wyrzekaniami Hamleta przeciwko sobie trzeba postępować krytycznie. Zapomnienia o przykazaniu ojca nie dopuszcza się Hamlet, owszem ta pamięć obok świadomości o tem, że spełnić przykazania nie może, stanowi największą mękę i utrapienie królewicza, zmuszającą go wić się i tarzać w bezowocnej skrusze. Tchórzem Hamleta nie podobna nazwać, bo przy stosownem podbudzeniu sercowem, mógł on dokazać cudów zręczności i siły i dać dowody ogromnej odwagi fizycznej. Co się tyczy myślenia, tego ostatniego są rozmaite rodzaje i nie każde myślenie jak upiór krew wysysa z postanowień. Są ludzie, dla których rozmyślanie jest potrzebą a samotność mistrzynią, bo tylko w odosobnieniu rozpuszcza się i zakwita kwiat oderwanej myśli, a z tego kwiatu myśli pochodzą owoce czynu pełne nasion. Hamlet nie dostrzega, że bierze za jedno zdrową, rumianą cerę postanowienia, z gorączkowym rumieńcem uniesienia. Myśl spędza palące rumieńce uniesienia z twarzy i rodzi postanowienie na chłodno, ale to postanowienie stawszy się czynną siłą, tryska ogniem przy napotkanym oporze i może stać się burzącym gromem. Któż nie zna sceny z samotnych dumań Gustawa-Konrada: *człowieku gdybyś wiedział jaka twoja władza, kiedy myśl w twojej głowie, jak iskra w chmurze, zabłyśnie niewidzialna, obłoki zgromadza I tworzy deszcz rodzajny lub gromy i burze.*

Oderwaną myślą można świat zewnętrzny posiąść, a potem nad nim zapanować i wedle woli swojej przekształcać; ale wprzód nim świat posiąść, trzeba posiąść myśli własne i rząd nad niemi dzierżyć. Pierwiastek woli potrzebny jest w samem myśleniu, chociażby na to, aby pod jego naciskiem uczucie skropliło się najprzód w przekonanie, a potem skrzepło na postanowienie. Do postanowienia idzie się przez przekonanie, a dla przekonania potrzebna chociażby odrobina wiary, nie w znaczeniu jakiegokolwiek *credo* religijnego lub filozoficznego, ale po prostu w tem znaczeniu, że trzeba odrąbać się od wątpliwości i przylgnąwszy do tego, co w danym przypadku najprawdopodobniejsze, oprzeć się na tem jako na opoce. W tem znaczeniu i scena w celi zamyka się słowami *zwalać i podźwigać myślą i wiarą.* Nic wspólnego z tego rodzaju myśleniem nie mają fantazye Hamleta, genialne ale bezwarunkowo jałowe. Wielki człowiek zwalczony, męczony, może karmić w sobie uczucia zwycięzcy, do którego przyszłość należy, ale Hamlet godząc się z myślą, że mógłby się *zamknąć w łupinie od orzecha,* wynagradza sobie to ograniczenie tem, że *będzie się sądził,* to jest będzie wyobrażał sobie, iż jest *panem nieskończonych przestrzeni.* W gruncie zupełnie mu obojętne to, co jest, rzeczywistość, dobro, użytek, cele w życiu i skutki postępków. Sam on to wypowiada bez ogródek Rozenkrancowi (II, 2) słowami: *w rzeczy samej nie jest dobrem ani złem samo przez się, tylko myśl nasza czyni to i owo takiem.* Z tym nihilizmem etycznym idzie w parze zupełny, a najniezaradniejszy sceptyzm filozoficzny. Hamlet wiecznie kołysze się, niby na wahadle, na dylemmacie: być albo nie być, albo jest co poza widomym światem albo nie ma; to w scenie z grabarzami, przerzucając czaszki, zaprząta się myślami, które mocno trącą materyalizmem, to w następnej scenie przed samą śmiercią wpada w leniwy fatalizm i zadziwia zaufaniem w przeznaczenie: *drwię z wróżb — lichy nawet wróbel nie padnie bez szczególnego dopuszczenia opatrzności.* Szekspir sam nigdy nie hołdował fatalizmowi, jego sposób myślenia najlepiej wyraża przemówienie Kassyusza (Jul. Cezar I, 2): *przecież czasami kochany Brutusie, Ludzie panami są swoich przeznaczeń, Jeżeli nisko spadamy, częstokroć Nie jest to wina gwiazd, ale nas samych.* Dla Hamleta służy ten fatalizm za filar, o który się opiera jego praktyczne niedołęztwo. W pomoc mu idą rozumowania: (V, 2) nie *wszystko bywa po dyable co czynimy nagle, owszem czasem niezastanowienie się lepiej nam służy, niż najumiejętniej* skombinowane plany, co dowodzi, że jakieś dobre bóstwo kształt nadaje naszym działaniom zgruba ociosanym.

Więc Hamletowe myślenie jest myśleniem *sui generis,* właściwie nie myśleniem, lecz niedotykającą nigdy ziemi poezyą — *marzycielstwem.* Wielkość Szekspirowskiego utworu polega na tem głównie: naprzód, że podał on skończony typ takiego marzyciela, takiego lunatyka, typ, któren odtąd będzie się powtarzał nieprzerwanie w literaturze przez ciąg wieków, po wszystkich krajach i lądach; *powtóre,* że go podał nie jednostronnie, w przebóstwieniu, jakby to był uczynił tuzinkowy jaki pisarz, którenby nie omieszkał przedstawić, jak nieszczęśliwa eteryczna poezya niesprawiedliwie kona zduszona w żelaznych objęciach rzeczywistości, ani równie jednostronnie w karykaturze. jako temat pełen wysokiego komizmu, któren się zawsze wywiązywać musi, gdzie z nierosądnych zamiarów poetycznych wynikają skutki niedorzeczne, ale w dramacie rozdzierającym serce, w którym widzimy jak się to szlachetne serce truje, jak się ten charakter kazi, jak nizko spada ten umysł, tłukąc się o rzeczywistość, i jak jest w końcu lepiej, że on się rozbił w starciu z rzeczywistością, aniżeli gdyby ta rzeczywistość oddaną została na pastwę jego urojeniom poetycznym, jego chwilowym szałom i kaprysom. Są dwa prześliczne ustępy w Hamlecie, malujące stopniowy rozrost duszy i jej upadek. W I, 3: Laertes powiada: *Natura ludzka, kiedy się rozwija, Nietylko rośnie co do form zewnętrznych; Jako wznoszącej się świątyni, służba Ducha i duszy zwiększa się u niej także (mind and soul* — właściwie umysłu i duszy). WI. 4; zaś Hamlet tłómaczy jak przez *przerastanie* (overgrosth) pewnej urodzajnej wady albo nałogu nabytego, kazi się i marnieje charakter, bo *jedna drachma złego niweczy wszystkie szlachetne pierwiastki.* W Hamlecie mamy sprawdzony ostatni z tych przypadków. Cały ciąg dramatu jest obrazem rozwijającego się przerażającego upadku królewicza umysłowego i moralnego. Zatrzymajmy się na głównych w tym procesie zwrotach i momentach.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TRZEJ BRACIA.

(Dokończenie).

Płyną lata niewoli
Oh! nieznośnie powoli,
Niby piasek w klepsydrze,
Ale w braci dwóch łonie,
Krwawej zemsty znicz płonie,
Nic go z piersi nie wydrze!...

Sam brat starszy pochwyca
Ciężki oręż rodzica
Lecz daremna to praca...
Chociaż zwijał się tęgo
Unużony mitręgą —
Znowu w lochy powraca...

Więc przybysze zuchwali,
Jeszcze huczniej hulali,
Bo myśleli, że pany,
Dwóch pobili, a trzeci,
Spokojniejszy niż dzieci,
Siedzi w więzach skowany.

«Trzeci — furda Mospanie!
Na nas pewnie nie wstanie,
Bo z rospaczy oszalał.
Nigdy nie był zuchwały,
A choć pierwej był mały,
Teraz bardziej pomalał...»

Więc spokojni już prawie
Hołd dawali zabawie,
Brat najmłodszy im służy,
I wstokrotnej podzięce
Łzami zlewa ich ręce
Paradując w obroży...

Płyną lata niewoli,
Oh! nieznośnie powoli,
Niby piasek w klepsydrze —
Ale zemsty znicz w łonie
Najstarszego wciąż płonie,
Nic go z piersi nie wydrze...

Aż najstarszy o ściany,
Roztłukł krwawe kajdany,
Cep porywa sękaty,
I z okrzykiem: Hej! Hurra!
Niby chmura ponura
Wpadł do złotej komnaty...

Jego postać się wzdyma,
Urósł w zemsty olbrzyma,
Kędy cepem dosięże,
Krwawy przed nim trup leży,
Stal gruchoce pancerzy,
Szłyki, szczyty, oręże...

Krwią i potem oblany,
Zerwał z braci kajdany
I uwolnił rodzica,
I posadził na tronie
Z berłem w ręku, w koronie,
Niech znów sławą przyswieca!

Z oczu ojca łzy płyną:
«Droga moja dziecino
Jam nie godzien twej łaski!
Tyś się za mnie okrwawił,
Tyś mię synu wybawił,
Tyś mię ubrał znów w blaski...

A ja w życiu swem całem,
Najmniej ciebie kochałem,
Nie tak prawie, jak syna,
Niegodnemum dał władzę,
Czemże winę mą zgładzę?
Oh! bo wielka ma wina!...

Tego zdrajcę ukarzę,
Niech pokutą grzech zmaże,
A ty panuj, mój drogi,
Mój synaczku najstarszy,
Ty masz genjusz monarszy.
I masz serce bez trwogi...»

Na to rolnik odrzecze:
«Bóg nad nami miał pieczę,
Nie mnie, jemu to chwała.
Bratu przebacz, o panie,
Niech twym synem zostanie,
Bo w nim trwoga działała...»

«Odtąd niech się mir pleni —
Jako bracia rodzeni,
Żyjmy razem szczęśliwie...
Wolni, równi, jednacy —
Do radości i pracy,
Na ojcowskiej tej niwie...»

I jak wyrzekł, zrobili...
Od uroczej tej chwili
Znów im dobrze się darzy —
I znów biali anieli
U wrót chaty stanęli
Z woli Bożej na straży. .

Bolesław Cz.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Tydzień już upłynął od czasu zamachu w Petersburgu, a dziennikarska rzesza całego świata karmi nas nieustannie szczegółami i drobnostkami tego faktu, jakbyśmy byli najwierniejszymi poddanymi Jego cesarskiej mości cara oswobodziciela, a nawet więcej niż poddanymi. Każden numer pism codziennych ustanowił już oddzielną rubrykę pod napisem „Zamach na cesarza Aleksandra II i karmi czytelników w kilkuszpaltowych artykułach i depeszach przesyłanych z Petersburga różnemi drobnostkami interesującemi może sfery pałacowe niektórych, skuzynowanych dworów, może klikę wiernych sług zabitego i nowego cara — ale nie szerszą publiczność. — Gorliwsze z tych pism podają plany miejsca gdzie się odbyła katastrofa, rysunki bomb eksplodujących, a pisma angielskie i francuskie portrety obu władców Rosji, ich pałace, a kto wie, czy za tydzień gdy już konceptu zabraknie nie wyrysują w naturalnej wielkości, szczątków najjaśniejszych kości z nóg cara oswobodziciela, które zaginęły nad kanałem św. Katarzyny. Jeżeli kiedy, to już teraz publiczność europejska doskonale wyuczy się topografji Petersburga i Małej Sadowej ulicy, na której ten sławny Kobozow z żoną założył jeszcze sławniejsze miny, podług jednych dziennikarzy znakomicie, podług drugich po partacku urządzone. Jestem przekonany, je jeżeli kiedy trafi się taki zamach w Petersburgu, to redaktorowie dzienników do drukowania takich opisów użyją farb mających, zapach podobny do zapachu gazu eksplodującej bomby. Doprawdy za wiele honoru dla tego wypadku, bo przypominamy sobie, że o sławnym ataku na Plewnę, prowadzonym pod okiem samego cara przypatrującego się z urządzonej oddzielnie werandy, daleko mniej pisano. A jednak dwanaście tysięcy dzielnego żołnierza położyło tam swoje głowy pod kartaczami Osmana paszy, na to tylko, żeby ubóstwianemu panu w dzień jego urodzin zrobić tę małą przyjemność i zdobyć okopy. Bataljony szły za bataljonami i wszystko to niknęło jak trawa na łące, podcięta kosą.. Gazety coś tam wspomniały o tych urodzinach, podały ogólną cyfrę poległych poczciwców, a potem zakopano ich we wspólnych dołach, posypując wapnem i cicho, sza — widowisko skończyło się... Nawet odważny książe Bismarck, także oswobodziciel ludów na drodze parlamentarnej, nie raczył odszukać między poległymi ukochanych Polaków, jak ich odszukał teraz pośród nihilistów moskiewskich, czychających na carów i porządek społeczny w Rosji. Już to temu zacnemu kanclerzowi państwa niemieckiego, my Polacy wiele mamy do zawdzięczenia. Gdyby nie jego szlachetna pamięć o nas, niktby już w Europie nie wspomniał o Polakach i nie przyznawał im takich zdolności do spiskowania, jak to czyni jego urzędowy organ Berliński... Pokazuje się z tego, że ci Polacy musieli mu dobrze wleźć za skórę, jeżeli tak ciągle siedzimy na jego książęcej wątrobie, że o nas zapomnieć nie może; — dobre i to: nie mogąc inaczej, niech przynajmniej w ten sposób sprawa nasza nie daje mu spać spokojnie. My się śmiejemy z tych objawów sympatji potężnego sternika niemieckiej nawy, bo to daje nam poznać, że mamy jakieś przymioty, których nam zazdrości, że istniejemy, a istniejąc mamy prawo do życia.

Nic dziwnego, że wobec takich faktów, o których cała Europa dyskutuje, lwowskie życie publiczne trudno dostrzegać się daje. Nowy marszałek krajowy jak powiadają z energją zabiera się do reform, i zadaje szyku krakowską uprzężą po ulicach, a jego dzielny krakus osadzony na koźle marszałkowskiego powozu, ubrany w kierezją i czerwoną rogatywkę z pawiem piórkiem spogląda tak groźnie i dziarsko na biednych rusinow zamiatających ulice, że ci ze zdumienia tylko otwierają gęby i debatują gdzie też może być taki naród na świecie, który się tak krzycząco ubiera. Po kolei wszyscy wybitniejsi panowie nasi dają obiady dla marszałka, widocznie tylko bez udziału dziennikarzy, bo nie czytamy w gazetach toastów, jak to miało miejsce w Krakowie i nikt nam nie przypomina o zasługach położonych dla świata i kraju przez współbiesiadników. Kto na tem traci — łatwo odgadnąć, ale trudna rada, z pustym kielichem w ręku niepodobna myślą wyobrażać sobie jak wyglądają bohaterskie czyny...

Post, zima jak w grudniu, kłopoty o chleb powszedni i kłopoty o mistrzów piszących reklamacje przeciw nowemu podatkowi gruntowemu — oto cała historja ubiegłego tygodnia. Toczące się sprawy w sądach przysięgłych przechodzą bez interesu, teatr p. Dobrzańskiego dogorywa a pana Miłaszewskiego gotuje się bez heroldów wstąpić na tron od Wielkiej nocy — ot i wszystko. Zaczynamy się nudzić, a jak się Lwów nudzi, to bardzo niebezpiecznie; gotów się zanadto rozigrać na wiosnę i narobić przykrości sferom urzędowym, coby zupełnie mogło zachwiać polską politykę w Wiedniu.

Z obcych nowości mamy do zanotowania kilka. Najprzód, Wiedeńczycy uczą się nagwałt mazura — jest to fakt tak samo pewny jak śmierć cara Aleksandra. Wszyscy metrowie tańców w naddunajskiej stolicy powzięli zamiar wprowadzenia naszego mazura na posadzki wiedeńskich salonów, z czego tylko cieszyć się możemy, bo ta nowość raz, że połechcze trochę naszą dumę narodową, a powtóre otworzy pole do popisu prowodyrom tutejszym, który marnowali swój talent w ciasnych autonomicznych granicach. Dalej wskutek odkrycia pp. Thomas i Loëgu, członków szląskiego stowarzyszenia ogrodniczego, ubędzie nam jedno przysłowie narodowe, którem oznaczaliśmy charakter bystrego i przewidującego umysłu, mówiąc „słyszy jak trawa rośnie“. Tak jest czytelnicy, teraz już każden z was, kupiwszy sobie przyrząd tych panów, bardzo łatwo może dokazać tej sztuki i być mądrym przed szkodą. Jest przyrząd tak dokładnie oznaczający skazówką na podziałce, każden ruch roślinki przy jej wzroście, że dosyć tylko zastosować do niego prąd elektryczny, a można z odgłosów dzwonka słyszeć rozwijanie się rośliny... Boże kochany, do czego to nauka nie doprowadzi! Za rok od dziś dnia będzie można mierzyć nawet rozum i inteligencję ludzką, a wtedy co zrobią z sobą glupcy? — pojadą chyba do Berlina i obejmą redakcję „Nord-Deutsche-Allgemeine Zeitung“.

SATYRA

— Mamo! nudzę się — od rana
Mamcia gada tylko z Tatą,
I w gazecie zaczytana...
Nie chcę tak — dziękuję za to.

— Bo widzisz, zabili Cara.
Tak, kogo duma zaślepi
Boża dotyka go kara.
Teraz Polsce będzie lepiej...

— Wiem, wiem, już mi to mówili
I niania i ciocia Hala...
Mamusiu! czy to zabili
Już ostatniego Moskala?*)

M. Rodoć.

O KSZTAŁCENIU CHARAKTERU

przez

FELICJĘ z WASILEWSKICH BOBERSKĄ.

(Ciąg dalszy.)

Przed kilkunastu laty często spotykałam się ze zdaniem: że „moralność potrzeba oprzeć na egoizmie, a wtenczas będzie miała silną podstawę; człowiek przekonany, iż dobrze czyniąc własne dobro uzyskuje, znajdzie w interesie swoim silniejszą pobudkę do dobrego, niż cokolwiek innego dać by mu ją mogło. Nie trzeba więc powściągać egoizmu wychowaniem, przeciwnie, należy go rozwijać, lecz sprawić, aby był dobrze zrozumianym.“ Mylności tego twierdzenia, dziś już, zdaje mi się, dowiodło najlepiej doświadczenie: odkąd uprawniono egoizm, patrzymy na tak smutne, coraz liczniejsze, takowego objawy, że ludzie, którzy w dobrej wierze powtarzali to zdanie, już się dziś zeń uleczyli. Egoizm, do pewnego stopnia jest nieuchronnym, bo któż nie kocha siebie i swego dobra, jest on tak silnym w naturze, że pielęgnowania pewno nie potrzebuje; przeciwnie, nie powstrzymywany, wzrośnie koniecznie zbyt silnie i przygłuszy wszystko inne.

*) Autentyczne — tak zapytał matkę czteroletni Henio synek p. G. we Lwowie.

Jak każda żądza wyłączna, każda ostateczność i jednostronność, egoizm nie daje jasno patrzeć, dąży zapamiętale do swoich celów, widzi we wszystkiem najpierwej tę stronę, która jemu dogadza. — Niewątpliwą to prawdą, że dobre się samo opłaca, że iść przez życie dobrze czyniąc, dopełniając każdej powinności, z duszą czystą i silną, i podniesioną ku Bogu, to choćby losy były najprzeciwniejsze, więcej człowiek dozna pokoju, błogości, szczęścia istotnego, niż otoczony najpomyślniejszemi okolicznościami, samolubny chciwiec i nikczemnik. On bowiem nigdy nie ma istotnego pokoju, żądza jakaś go trawi, nigdy mu dosyć dobrego, a najmniejsza przeciwność jest dlań torturą, nie do zniesienia. Ale czy potrafi to zupełnie jasno widzieć ten, w kim wygórował egoizm, kto przywykł sobie, i sobie tylko dogadzać? Czy natychmiastowe użycie, możność osiągnienia wielkich korzyści, zaspokojenia jakichś pragnień, lub cierpienie, ofiara, połączone z pewną powinnością, lub odrzucą go od niej, nie zwrócą z drogi wytrwałej cnoty? Czy samolubne pobudki wystarczą, byśmy zdrowie, wolność, szczęście, życie poświęcali wielkiej i świętej sprawie, byśmy raczej znieśli wszystko najcięższe i najboleśniejsze, śmierć samą, niż splamili się odstępstwem, nikczemnością? Byśmy potrafili przez trudy, zawody, cierpienia żywota, iść niezachwianie, z podniesionem czołem, drogą prawdy zupełnej, ścisłych moralnych zasad, obowiązków najsumienniej dokonywanych, byśmy byli wiernymi pracownikami w winnicy pańskiej, spłacili dług zaciągniony u Boga, ludzkości, ojczyzny i rodziny? O, nie wystarczą egoistyczne pobudki, niskie wysokości nie wytworzy. Rozkiełznane sobkostwo prędzej przeistoczy społeczność w trzodę wilków rozrywających zdobycz, niż ją zdoła udoskonalić i uszczęśliwić!

„Szkoda ofiar, które nie są rozkoszą!“ — wyrzekł poeta — o prawda! poświęcenie każde jest radością, zaspokojeniem duszy; ale aby to zrozumieć, dokonać takowego, trzeba właśnie nie być egoistą, ukochać nad siebie drugich, lub wielką prawdę. Zrzeczenie się siebie, jest w istocie pozyskaniem siebie, daje spokój, wolność duchową, podnosi nad drobne osobiste uciski, wiele szczęścia przynosi; ale czyż takie pojmie samolub i będzie doń dążył?

Mógłby mi kto zarzucić, że egoizm nie wygórowany w żądzę, może jasno patrzeć, i przez pełnienie obowiązków, przez dobro drugich dążyć do własnego. Wówczas, albo on będzie owładnięty szlachetniejszemi dążeniami duszy, i taki jest niezawodnie w każdym najzacniejszym człowieku — oto chodzi w wychowaniu, aby go owładnąć, podporządkować powinności, i wyższym miłościom — albo też, człowiek, który nie zupełnie nad samolubstwem zapanował, pozostanie chwiejnym; dobre jego czyny będą dorywcze, obowiązki raz dopełnione, a drugi raz poświęcone swojej korzyści lub wygodzie. Egoizm u dziewcząt przybiera czasem formę wielkiej czułości, ale zwróconej przeważnie na siebie — pokonywajmy i taki, bo on się staje udręczeniem tkliwej egoistki i jej otoczenia, nie dopuszcza żyć istotnie dla drugich. Ażeby wychowaniem powściągać egoizm, nie czyńmy dziecko środkowym punktem otaczającego je świata; niech dziecię od początku wie, że jego prawa nie są większe niż czyjekolwiek, niech ono w niczem nie będzie uprzywilejowanem. Niech w każdym szanuje człowieka, a w starszym wyższość nad sobą. Nie pozwalajmy nigdy na zachcenia, które byłyby z czyjąś przykrością, n. p. z zbytniem utrudzeniem, nie tylko matki, lecz piastunki lub czyjemkolwiek. Powściągajmy objawy pychy, próżności; nie podnośmy dowcipów dziecka, bo łatwo wprowadzimy je w popisywanie się, a dalej udawanie czegoś, aby na siebie zwracać uwagę, co dziecko zwykle wcześnie lubi. Niech ono nie przecenia się w niczem, podporządkowuje siebie drugim i siebie obowiązkowi, a tem najsilniej się przyczynimy do wyrobienia w nim charakteru.

Drugą nie mniej ważną stroną charakteru jest szczerość i prawda. Bez zupełnej prawdziwości nie można być istotnie czystym i prawym. Miłością i swobodą i dobrym przykładem koniecznie wywołujemy szczerość; utwierdzamy ją zaś budząc pogardę dla kłamstwa i udania, a miłość własną przeistaczając w uczucie godności, której milszem będzie cierpienie każde, niż splamienie się czemś tak niskiem, jak kłamstwo, pochlebstwo i t. p. Nawet wkładając dzieci w grzeczność towarzyską, starajmy się pilnie, aby ta grzeczność nie udaniem była, lecz naturalną formą miłości chrześciańskiej, dla tego niech ją dziecię ma nie tylko w obec gości, lecz również w obec sługi, lub żebraka proszącego jałmużny.

By stać przy prawdzie, by wykonywać wytrwale jakąkolwiek cnotę, trzeba odwagi. Budźmy więc odwagę fizyczną i moralną. Potrafimy to, jeżeli najpierw dobrze poprowadzimy wychowanie fizyczne, nie rozdrażnimy nerwów; jeżli wcześnie będziemy podniecać własną czynność dziecka, zachęcać je do próbowania i rozwijania sił, do przezwyciężania trudności. Dopuśćmy, aby w niejednem dziecko same sobie radziło, dopuśćmy takich ćwiczeń, w których może upaść, potłuc się trochę i t. p., bo to mu tyle nie zaszkodzi, ile mu korzyści przyniesie na całe życie siła i zręczność, zaufanie w swoje siły, praktyczność, poradność, zachowanie przytomności i odwagi w trudnych razach, w niebezpieczeństwach, a nadewszystko jeżli odwaga fizyczna stanie się podstawą moralnej. Nie zawsze one są nierozłączne, a właśnie obie razem niezmiernie pożądane. Jak odwaga, popiera szczerość, tak i z niej płynie. O moralną odwagę trudno egoiście, który się przez nią naraża na jakąś przykrość, łatwo człowiekowi oddanemu nieograniczenie powinności, który nie jest zbytecznie o siebie troskliwy, a na cierpienie wytrwały. W ten sposób cnoty i zalety podpierają i wywołują jedna drugę. Wytrwałość płynie z umiejętności panowania nad sobą, przymuszania się dobrowolnego, z uczucia powinności i godności własnej; przykład i nawyknienie działają tu jak wszędzie. Ztąd nie można zezwalać, aby dziecko rozpoczynało jakąś czynność a nie kończyło jej, aby przerzucało się z jednego zajęcia w drugie, zmieniało często zabawki i t. p. Swoboda, śmiałość, poradność wyrabiają samoistność. Wiele jej przyczynia następnie dobra metoda uczenia, usamodzielniająca myśl. Skłonności do marnotrawstwa, tak u nas częstej i zgubnej, która rozwinięta, staje się rodzajem umysłowej choroby, sądzę, iż można zapobiedz wzwyczajając do skromnych potrzeb, do rozkazywania sobie, rozwijając poradność i samoistną siłę, kształcąc rozum i rozsądek praktyczny. Brzydką skłonność do zazdrości, dość powszechną u dzieci, usuwamy zwyciężając egoizm, rozbudzając przywiązanie dla drugich, uczucia szlachetniejsze. Upor różni się tem od woli, że obierze cel błahy; walczyć gwałtownie z uporem, przełamywać go, jak to mówią, nie radziłabym, bo częstokroć czyni się go wtenczas zawziętszym — ale postarajmy się, aby ta przekorna dusza wzrosła, aby ukochała dobre, stałość i wolę zwróciła ku zacnym celom, a uporu nie będzie. W ogóle, jeżli nie mogliśmy przeszkodzić rozwinięciu się wad, lub jeżeli, jak to jest losem nauczycieli i nauczycielek dostajemy do prowadzenia dzieci już z wadami, to wyrobienie charakteru staje się o wiele trudniejszem, ale nie niepodobnem. Karami powściągać wady i winy, to może wygodnem dla wychowawcy, bo na razie pomogą, może w pewnych wypadkach jest nieuchronnem, ale rzadko zbawiennem w skutkach. Wychowanek oswaja się z karami, trzeba je stopniować, łatwo przejść miarę, łatwo źle zadziałać na szczerość, na uczucie godności własnej, i uzyskuje się zwykle chwilowe powściągnienie, nie istotną poprawę.

Rousseau niegdyś, Herbert Spencer obecnie, zalecają umiarkowane i takie tylko kary, które są skutkiem, wypływem winy. Gdyby dały się użyć zawsze tylko takie, to nie byłyby szkodliwemi, przeciwnie obudzałyby przeświadczenie, że nieuchronnie jak cień za człowiekiem, za złem idzie cierpienie. Lecz jak w życiu nie okazuje się ta prawda doraźnie, natychmiastowo, tak niepodobna w praktyce wychowawczej wywieść zawsze karę z winy, jako konieczne następstwo, nie zaś jako sprawiedliwość wykonaną przez wychowawcę.

Złe jest zawsze brakiem dobrego; usuwamy je więc najskuteczniej rozwijając dobre. Dłuższa, powolniejsza to droga; lecz prawdziwie poprawiamy, tylko uszlachetniając i podnosząc duszę. W moim długim zawodzie nauczycielskim stwierdziłam tę prawdę doświadczeniem niepoliczone razy: że w miarę jak dobre przybywa, złe samo ustępuje.

Gdy szlachetniejsze myśli, uczucia, dążenia rozwiną się w duszy, wady, rzeczy niskie znikają. Oczywiście doprowadzenie do tego jest łatwiejszem lub trudniejszem, względnie do usposobienia dziecka i poprzedniego wychowania; zupełnie wypełnić braki, uleczyć zakorzenione przywary nie zawsze jest podobnem, ale przecież zawsze się coś przyjmie z tej pracy uszlachetniającej, i niezawodnie więcej się zdziała niż karami, niż nawet usilną walką z wadami, gdyż takowa czyni je często zawziętszemi lub nowe wyradza.

(Dokończenie nastąpi.)

PISMIENNICTWO POLSKIE.

O wiedzy ludzkiej. Napisał Ignacy Skrochowski, dr. filozofii. Kraków. 1880.

Pan Ignacy Skrochowski znanym był dotąd jako redaktor Przeglądu Polskiego; wiedziano o nim także, że podczas awanturniczych wypraw Don-Karlosa do Hiszpanii odbywał pobożną pielgrzymkę do jego obozu, ażeby temu nowemu w swym rodzaju Don-Kiszotowi złożyć hołd w imieniu polskich legitymistów i odebrać z jego rąk święcenie na kapłana zasad, mających zbawić Polskę. Żeby zaś mógł być lub stać się kiedyś filozofem nie z samego tylko tytułu, ale

de fakto — o tem nikomu się ani śniło. Tymczasem p. Ignacy Skrochowski, jakby dla stwierdzenia znanego powszechnie zdania Szekspira, zrobił nam niespodziankę i wystąpił z dużym tomem filozoficznego dzieła, w którem bez wielkiego zachodu rozwiązuje w sposób stanowczy jedno z najważniejszych, ale zarazem i najtrudniejszych zagadnień filozofji, wykazując jasno jak na dłoni, że jak dotąd był dobrym politykiem, tak również dobrym jest i filozofem.

Powiedziałem, że p. Ignacy Skrochowski zrobił wielką niespodziankę, występując z dziełem filozoficznem; dodać tu atoli muszę, że co było niespodzianką dla nas, to nie było nią dla filozofów niemieckich, angielskich i francuskich. Ci, jak o tem łatwo się przekonać z samego dzieła p. Ignacego Skrochowskiego, nie tylko, że wystąpienie jego przeczuwali, ale zarazem odgadywali proroczym duchem, o czem będzie pisał i jakie prawdy wygłosi — i to przeczuwali i odgadywali wtedy, kiedy samym jego rodzicom ani się nie śniło, by mogli mieć syna, który będzie się nazywał p. Ignacym i który napisze kiedyś filozoficzne dzieło. Czytamy w dziele p. Ignacego Skrochowskiego, że np. Hamilton, który umarł przed kilkudziesięciu laty, J. Mill i Lewes, którzy zmarli przed kilku laty — zgadzają się z nim pod wielu względami; a znowu np. Spencer, Bain, Taine i wielu innych żyjących, ale znanych ze swych dzieł od lat kilkudziesięciu, rozchodzą się z nim w pojmowaniu tego lub innego zagadnienia.

O mędrcu tej wagi, który, jak ongi mesyasz przez judejskich proroków, był przewidywanym przez filozofów niemieckich, angielskich i francuskich, nie godzi się milczeć, ani go pozbywać krótką i pobieżną jakąś wzmianką. Słusznie bowiem zasłużylibyśmy na zarzut: przyszedł do swoich, a swoi go nie poznali. Tem większą byłoby to dla niego krzywdą, że tacy filozofowie, jak p. Ziemba i p. Deisenberg nie są bynajmniej od niego ani lepsi, ani doskonalsi, a o nich przecież rozpisywaliśmy się szeroko.

W rozbiorze swoim, chcąc być ścisłymi, niechcąc pominąć żadnego szczegółu, który podnosi wartość dzieła pod jakimkolwiekbądź względem, będziemy trzymać się porządku, jaki nam wskazuje sama natura rzeczy. A więc zaczniemy od zewnętrznej dzieła postaci.

Książka p. Ignacego Skrochowskiego, wydana w dużej osemce, zawiera 263 stron, nie licząc w to spisu rzeczy i wykazu omyłek druku Papier jest welinowy, druk duży i czysty, korekta staranna — słowem posiada wszystkie warunki, jakie są potrzebne na to, by książka od pierwszego wejrzenia dobre na czytelniku robiła wrażenie i zachęcała go do czytania. Świadczy to, że jak autor nie żałował kosztów, tak drukarnia zachodu i troskliwości.

Nieco odmienniej ma się rzecz z językiem, w jakim dzieło p. Ignacego Skrochowskiego jest napisane. Język to wprawdzie polski, ale taki, jakim chyba mawiali i pisywali nasi ojcowie z czasów saskich — którym się zdawało, że mówić, jak Bóg przykazał i matka nauczyła, wolno tylko nieukom i prostakom, ale nie ludziom nauczonym, którzy odrazu powinni pokazać, że niedarmo siadywali na szkolnych ławach i że jeżeli nie wynieśli z nich rozumu i nauki, to przynajmniej spory zapas słów i frazesów łacińskich. Styl p. Ignacego Skrochowskiego jest wprawdzie oryginalny, ale trudno powiedzieć, żeby był przyjemnym w czytaniu. Oryginalnym jest o tyle, że dzisiaj już nawet Niemcy nie piszą takim stylem

Jest to styl rozwlekły, ciągnący się jak klajster, pozbawiony życia, a przytem zawiły, że nie zawsze można wyrozumieć, o co autorowi chodzi i co właściwie, chce wypowiedzieć. Robi on w czytaniu wrażenie jak gdyby się żuło kłaki, których ani pogryść, ani połknąć nie można. Dodajmy do tego ciągłą tautologję — kilkakrotne wypowiadanie tej samej myśli innemi tylko wyrazy, przeładowanie tekstu licznemi i dość długiemi cytatami z różnojęzycznych pisarzów, często nawet nieprzepolszczonemi, a pojmiemy, że odczytanie dzieła p. Ignacego Skrochowskiego nie należy do zadań najprzyjemnych i łatwych.

Nie robimy w każdym razie z tego zarzutu p. Ignacemu Skrochowskiemu, — bo i po czemżeby poznano, że autor istotnie obeznanym jest z najnowszą literaturą filozoficzną! Jest to nawet jedyne znamię, które czytelnika, po raz pierwszy spotykającego się z nazwiskiem p. Ignacego Skrochowskiego, naprowadza na domysł, że należy on do ludzi żyjących, że dzieło jego nie jest przedrukiem jakiegoś scholastycznego zabytku z jezuickich czasów.

P. Ignacy Skrochowski na samym wstępie oświadcza, że w prawdzie psychologja jest nauką czysto doświadczalną, ale że wszyscy dotychczasowi psychologowie, nie wyjmując ani Baina, ani Spencera, Lewesa i Tainea, nie mieli dokładnego pojęcia o doświadczalnej metodzie i jej zastosowaniu do psychologicznych zjawisk Nie powiada nam wprawdzie p. Ignacy Skrochowski, w czem to błądzą wymienieni powyżej uczeni, ani też rozwija teoretyczne zasady *prawdziwej* doświadczalnej metody; ale za to podaje nam jej wzór doskonały w swoim dziele, zatytułowanem: O wiedzy ludzkiej.

Przypatrzmyż się pilnie tej *prawdziwej* metodzie doświadczalnej.

Tytuł dzieła zapowiada traktat o wiedzy ludzkiej, we wstępie dopiero dowiadujemy się, że są to tylko prolegomena. Dlaczego dopiero we wstępie? Czy po napisaniu dzieła sam autor spostrzegł się, że rzecz nie odpowiada zamiarowi i chcąc, by wilk był syty i koza cała, dla siebie, a właściwie dla tych co czytać nie będą, zachował wiele mówiący tytuł, dla czytelników zaś umieścił krótką wzmiankę, że jest to tylko przygotowanie do dzieła, które kiedyś, da Bóg, wyjdzie? Lecz mniejsza o to. Przejdźmy do samej treści dzieła.

Zamiarem głównym autora jest dowieść, że dwa są źródła wiedzy ludzkiej— zmysłowe i umysłowe. Dwa te źródła, nie zależne od siebie i nic wspólnego z sobą nie mające, dają dwa szeregi pojęć — pojedyńczych i szczególnych, mających pochodzenie zmysłowe i ogólnych, powszechnych, które są wrodzone człowiekowi. Oto jak je charakteryzuje autor: „Pojęcia (ogólne) wcale nie urabiają się z wrażeń, jakoby ze swych pierwiastków wydzielanych i składanych w nową, ogólniejszą całość, lecz po prostu: pojęcia umysłowe. będąc odrazu, przy pierwszem pierwotnem iszczeniu się swojem w nas razem z wrażeniami zmysłowemi niejako spowite, osadzają się prócz tego w nas wskutek naturalnego samorodnego, bezrefleksyjnego a koniecznego procesu odrywania się, jako osobne dla siebie, odciągnięte od wrażeń, abstrahowane i osobno nam świadome a uniwersalne formy poznawcze, które wiemy w sobie i nazywamy pojęciami, dochodząc do ich samowiedzy, gdy na nie umyślną refleksyjną zwracamy uwagę.“ Przytaczam cały ten ustęp dla tego, że on wypowiada zasadniczą myśl autora, a jednocześnie daje nam poznać styl jego i sposób tłumaczenia swych myśli, sposób, który jej wyrozumienie robi dla czytelnika prawdziwem konikowem zadaniem.

Pan Ignacy Skrochowski opiera całą naukę o wiedzy ludzkiej na rozróżnianiu trafnem dwóch sposobów naszego poznania t. j. *poznania przez zmysły i przez słowa.* Że to odróżnianie dziś ma swą rację, tego nikt nie zaprzeczy; lecz żeby człowiek zawsze dwoma temi sposobami dochodził do wiedzy, na to zgodzi się chyba ten, co przyjmuje, że mowa jest bezpośrednim darem Boga, że człowiek przyszedł na świat z gotowym zasobem słów, nie potrzebując ich urabiać drogą zmysłowych wrażeń.

W ogóle wszystkie argumenty, jakiemi się p. Ignacy Skrochowski posługuje w celu udowodnienia swego założenia, są: albo stare, oddawna uznane za słabe i nikogo nieprzekonywające, oprócz tych, którzy chcąc być przekonanemi, albo nowe w prawdzie i oryginalne, ale oryginalne w tem znaczeniu, jakie się temu słowu nadaje, gdy się chce grzecznie oznaczyć dziwactwo jakieś!

Do takich rezultatów dochodzi autor metodą, którą musimy uważać za doświadczalną w rozumieniu, jakie jej autor nadaje — to jest za metodę doświadczalną prawdziwą, a więc doskonalszą od tej, jakiej używają Bain, Spencer, Lewes, Taine, Wundt i t. innych. Na czem-że polega ta prawdziwa doświadczalna metoda? Oto po prostu: na wypisaniu z kilku dzieł, traktujących o anatomji i fizjologii, luźnych, i jak tym razem, nie zupełnie potrzebnych wiadomostek o komórkach, o budowie ludzkiego organizmu, o nerwowym systemie i o zmysłowych wrażeniach; a następnie na przyczepieniu do tych wiadomostek o wiele obszerniejszego traktatu o wiedzy umysłowej, będącego w gruncie niczem innem, jak amplifikacyą we właściwy autorowi sposób, którego probkę dałem powyżej — zasad i pojęć, zawartych w filozofji św. Tomasza z Akwinu. Wprawdzie starał się pan Ignacy Skrochowski zmodernizować nieco zastarzałe pojęcia scholastycznego filozofa, wyszukując dla nich poparcia w twierdzeniach współczesnych filozofów ze szkoły spirytualistycznej, albo też za pomocą polemiki z twierdzeniami filozofów przeciwnego obozu. Modernizowanie to wszakże o tyle tylko zmienia postać rzeczy, że pojęcia anielskiego doktora bardziej jeszcze zaciemnia i trudniejszemi robi do zrozumienia.

Że to jest istotnie metoda prawdziwie doświadczalna, na to zgodzi się każdy, kto wie, że tego rodzaju fabrykacja książek *doświadcza się* bardzo często, praktytuje się. Ponieważ doświadczenie takie wymaga co najwięcej cierpliwości w wypisywaniu i pamięci, a nie wymaga wcale ani wykształcenia odpowiedniego, ani bystrości rozumu; przeto słusznie musi się uważać za doświadczenie prawdziwe, odmienne od doświadczenia fałszywego, wymagającego wielkiej pracy, gruntownej nauki i takiej potęgi umysłu, jaką się odznaczają Bain, Spencer i inni.

Dla braku miejsca trudno nam rozpisywać się o szczegółach, pod wielu względami bardzo ciekawych i nadmieniamy tu tylko, że p. Ignacy Skrochowski w swej genialnej pomysłowości wykrył, że źwierciadło, owo źwierciadło, któ-

re moraliści tak często wyrzucają kobietom, które stało się niejako symbolem próżności i lekkości myśli — może być dzielnem narzędziem w badaniach filozoficznych. Utrzymuje on mianowicie, że człowiek, ażeby mógł przyjść do pojęcia o człowieku ogólnym, nie potrzebuje porównywać z sobą Jana, Pawła i Gawła, ale potrzebuje tylko w lustro spojrzeć.

O przywilej dla swego wynalazku p. Ignacy Skrochowski nie potrzebuje się starać.

Władysław Kozłowski.

WYKAZ PSEUDONYMÓW

używanych przez autorów polskich

ułożył

EDWARD MINKOWIECKI

(Ciąg dalszy)

Pruski — Gloger Zygmunt.
Przekora — Dziekoński Tom.
Przezor Klem. — Gołuchowski Józef.
Pszczółka — Piekarski T. J.
Puszczy (Z) Jan — ob. Jan.
Rakowiecki Gracjan — Wróblewski Kaz.
Ratuld — Zbyszewska Marja
Remus — Świętochowski Aleks.
Rodoć M. — Biernacki Mikołaj.
Rogala — Turski J. K.
Rola Wład. — Wolski Wład.
Roman z Pawłowic — Wilczyński Rom.
Rościsław — Rozmanith Ant.
Ruchawka Metody — Prószyński Postumiusz.
Ruralis Dezydery — Wiesiołowski Michał.
Rusin — Terlecki Hipolit.
Rustejko — Pieńkiewicz Adam.
Rusticus — Szaniawski Klemens.
Rychcicki — Dzieduszycki Maur. hr.
Saint Vincent Paul — ob. Paul.
Salvator Henricolo — Merzbach Hen.
Samin — Szulc Kaz.
Sartoryusz — Schneider Ant.
Sas Berlicz — ob. Berlicz Sas.
Septymiusz — Baliński Michał.
Sewer — Maciejowski Ignacy.
Sęk — Sęczkowski Teodor.
Sęp. Józef — Stobiecki Jan.
Sidorowa (Z) J. K. — Pajgert J. K.
Sierp-Polaczek — Preis Jul.
Skiba Michał — Szujski Józef.
Skiba Wołody — Sabowski Wład.
Śliwina (Ze) Jan — ob. Jan.
Smolnicy (Ze) Walenty — ob. Walenty.
Snopek Kaz. — Giedrojć K.
Sobarri — Kirkor A. H.
Socha — Abancourt Fran.
Solecki — Darewski — Weryha Aleks.
Soplica Jacek — Olędzki Wład.
Soplica Seweryn Rzewuski Hen.
Sotwaros — Śniadecki Jędrzej.
Sowa A. Żeligowski Edw.
Spektator — Witte Karol.
Spiridion — Lubowski Edw.
Stach z Zamiechowa — ob. z Zamiechowa.
Stachurski Paulin — Święcicki Paulin.
Stanisław z Dzikowa — Jachowicz Stan.
Staruszkiewicz Innocety — Odyniec A. E.
Starykoń Józef — Wielopolski Józef.
Starża — Miniszewski Józef.
Stefan z Opatówka — Giller Stef.
Stolnikowicz Chełmski — Podwysocki Konst.
Stożek — Asnyk Adam.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** *Bibljoteczka Staszyca.* Pod tym tytułem Redakcja Przeglądu tygodniowego w Warszawie wydaje książeczki dla ludu, których dotąd wyszło 10:

Pierwsze wiadomości o świecie.
Jakie są obowiązki obywatela.
Smok we wsi czyli strach ma wielkie oczy.
Zwierciadło towarzyskich nieprzyzwoitości naszych.
Co Piotrek z Drobina widział nowego w Łowiczu.
O drogach na lądzie, wodzie i powietrzu.
Jan Samulczak, czyli chciwość ukarana.
Wieś i miasto. Pogadanka.
Współpracownicy Rolnika: Kret, Jeż i Nietoperz.
O wielkim naszym pieśniarzu Franciszku Karpińskim.

Pożyteczne to wydawnictwo tem bardziej zasługuje na uwagę, ile że od czasów ostatniego powstania literatura ludowa u nas znajduje się w zupełnem zaniedbaniu i rzadko pojawiające się broszurki dla ludu są prawdziwymi białymi krukami. Bibljoteczka Staszyca będzie i nadal wychodziła a znając energję i przedsiębiorczość wydawcy, można oczekiwać pomyślnych rezultatów.

*** Firma Orzeszkowej i spółki wciąż pracuje. Obecnie wyszła dziewiąta książka należąca do jej wydawnictwa p. t. „Przesądy w wychowaniu".

Autorką tego studjum pedagogicznego jest p. Walerja Marrené, która poświęciła swą pracę nie pedagogom z powołania, ale ludziom dobrej woli, którzy pragną w szczupłym czy większym zakresie przyczynić się do zniszczenia błędów."

*** Czeska illustracja „Svetozor" podaje szereg przekładów z książki dla Zagrzebian.

Rozpoczęto od humoreski Romualda Starkla p. t. Samowar.

*** W dwóch ostatnich numerach *Ekonomisty* spotykamy obszerny artykuł pt. „Pieniężna wartość człowieka", na który zwracamy uwagę naszych czytelników.

*** „Książka jubileuszowa" Kraszewskiego doczekała się pochlebnej wzmianki w czasopiśmie angielskim *Academy*.

W tymże dzienniku zapowiedziano rozbiór ostatnich prac Wójcickiego z dziedziny literatury, drukowanych w *Bibljotece warszawskiej*.

*** *Saturday Review* w nr. 1315 umieszcza obszerne sprawozdanie z ostatniego dzieła Juljana Klaczki pod tyt.: »*Causeries Florentines*«, wyrażając się bardzo pochlebnie o naszym publicyście.

*** Pani Smolarowa, żona jednego z przybyłych do Warszawy Serbów łużyckich, zbiera materjały do odczytu o Królestwie Polskiem, który zamierza wygłosić po powrocie do swego kraju.

*** W Tyflisie w sierpniu zapowiedziano kongres archeologiczny.

Rząd udzielił na cel ten znacznego funduszu.

Ze względu na bogactwo materjałów archeologicznych na Kaukazie, dotąd prawie przez naukę nietkniętych, zdaje się, że zjazd specjalistów będzie liczny...

*** Wł. Rossowski, pełen talentu twórca „Skazanej", zabrał się do wielkiego płótna historycznego: „Wjazd Jadwigi do Krakowa".

*** Na wystawie prac ś. p. Maksymiljana Gierymskiego w Warszawie znajdują się między innemi: cztery obrazy skończone, jedno studjum akademickie i kilka studjów z czasów późniejszych.

*** Illustracja rosyjska daje w swoich szpaltach rycinę przedstawiającą ostatnie utwory Brodzkiego: „Venus w upojeniu", oraz portret naszego rzeźbiarza.

*** „Illustracja duńska" wychodząca w Chrystjanji pomieściła drzeworyt „Walka bez niebezpieczeństwa", podług rysunku Horowitza.

*** Wkrótce u Riessa wyjdą kompozycje skrzypcowe Władysława Górskiego, które doznały wielce sympatycznego przyjęcia w Dreznie.

Społeczne i ekonomiczne.

*** Pisma warszawskie donoszą, iż podobno w uniwersytecie warszawskim i gimnazjach zajdą niektóre zmiany. Wykład języka polskiego w gimnazjach i szkołach realnych ma być podwyższony z 12-tu do 17 tu godzin tygodniowo i stanie się obowiązującym. Wykład ten jak i objaśnienia odbywać się będą w polskim języku. W uniwersytecie warszawskim obsadzoną zostanie katedra literatury polskiej. Podobno nawet dziekani uniwersytetu zajmują się już wyborem profesora.

*** Na granicy Węgier, ku południowi, zdarzyły się liczne w ostatnich czasach rozboje.

Po sprawdzeniu okoliczności okazało się, iż sprawcami przestępstwa są... dzieci.

Hersztem był młodzieniec 19-letni, a jego podwładni liczyli od 12 do 15 lat życia...

Pełni nadziei młodzieńcy...

*** Moskiewska gazeta „Nowosti" podaje, iż w ciągu roku w jednej gubernji wiackiej oddano pod sąd: 52 starszyn włości (wójtów), 25 pisarzy i 86 starostów wiejskich (sołtysów).

Wydalono z zajmowanych posad bez oddania pod sąd: 25 starszyn, 75 pisarzy i 56 sołtysów.

Wreszcie skazano na kary administracyjne: 220 starszyn, 212 pisarzy i 461 sołtysów.

*** Bliska wystawa elektryczna w Paryżu oświeconą będzie przez wszelkie systematy, używane w rzeczypospolitej lub za granicą.

Działacz użyty w tem olbrzymiem współzawodnictwie wymagać będzie siły 800 koni, oraz 31 mil angielskich drutu.

*** Pewien fotograf z Henley nad Tamizą, blisko Londynu, zdołał — jak donosi „Przyr. i Przem." — otrzymać za pomocą nowej metody żelatynowej obrazy przedmiotów poruszających się z wielką szybkością.

Tak naprzykład, sfotografował bardzo wyraźnie lokomotywę pociągu kurjerskiego „Flying Dutchman" na drodze Great Western i na stacji Twyford, kiedy pociąg przebiegał z bardzo znaczną szybkością 86 kilometrów (12 mil naszych) na godzinę.

Lokomotywa odtworzoną została ze wszystkiemi szczegółami i tak dokładnie, jak otaczające nieruchome przedmioty.

Za pomocą ekranu, który szybko przesuwa się przed aparatem, płyta wystawiona jest na światło zaledwie przez 1/500 sekundy, tak, że można by odfotografować wszystkie wagony pociągu kurjerskiego widziane z boku.

Z Drukarni „Gazety Narodowej" pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.